ROZMAITOŚCI.

Dnia 30 października, Ner 44. roku 1847.

KUPIEC MARSYLSKI.

Kto tylko był w Marsylii, przypomina sobie zapewne duży budynek obok ratusza, w tymże samym architektonicznym stylu co ratusz wystawiony, i pomimo że teraz do dwóch różnych właścicieli należy; przecież widocznémi śladami dawnéj jedności nacechowany. Jakoż rzeczywiście miał on przed laty jedynego posiadacza, i cały do tegoż samego służył użytku, to jest, był ogromnym domem handlowym, znanym pod głośną firmą St. Victor, według nazwiska możnéj rodziny, w któréj posiadaniu zostawał.

W r. 1700 naczelnik tego domu był w najprzykrzejszém położeniu. Firma jego od lat wielu najznakomitsza w Marsylii, chyliła się niepowstrzymanie do upadku. Kredyt domu, od niepamiętnych czasów niezachwiany, wstrząsł się teraz w najgłębszéj swojéj posadzie. Pan St. Victor był mężczyzną w sile wieku, lecz piękny czarny włos już mu pośrebrzał gdzieniegdzie, a szérokie czoło poorało się zmarszczkami, które troska przedwcześnie tam wyryła. Całe urządzenie pokoju, w którym gospodarz domu w téj chwili samotny, milczący siedział; okazywało ślady bogactw, jakie tu niegdyś panowały, przepychu, w jakim rodzina St. Victor żyć nawykła. Były tam wytworne sprzęty, złoto i aksamity, źwierciadła i dywany — drogie przedmioty zbytku, rzadkie nawet za dni dzisiejszych, a témbardziéj podówczas, rzeźby, malowidła; słowem wszystko, co tylko za pieniądze nabyć się dało, było w tym salonie zebrane. Kosztownie obite ściany jaśniały dużémi obrazami, włoskich po większéj części mistrzów; wszelako można było dostrzedz, iż niektóre z wiszących teraz malowideł, zastępywały miejsce innych, a jak się po znakach na ścianie okazywało, nierównie większych i zapewne kosztowniejszych od swych zastępców, lubo i te, które pozostały, mogły były zdobić pałace książąt. Nad wysokim gzymsem kominkowym z czystego białego marmuru o wielu ozdobach i majestatycznych proporcyjach, wisiał portret, przedstawiający młodego mężczyznę, bardzo ujmującéj powierzchowności, pięknych rysów, a osobliwie otwartego, szlachetnego wyrazu twarzy. Byłto portret pana St. Victor, lecz pana St. Victor przed wielą laty. Od czasu do czasu spoglądał gospodarz domu w głębokiém zadumaniu, jakby mechanicznie ku młodzieńczemu portretowi. Cóż za odmiana między dawnym obrazem a dzisiejszą rzeczywistością! Na obrazie młodość, piękność i szczęście — w rzeczywistości siwizna, zmarszczki, cierpienia!

Wtém otwarły się drzwi, i wszedł jakiś mężczyzna w latach. Był on dość starym aby uchodzić za ojca pana St. Victor; lecz byłto Devereux, niegdyś pierwszy komisant w domu St. Victor, obecnie zamożny kupiec w Marsylii. Miał na sobie bogaty, pański ubiór, lecz postępywał chwiejnym krokiem, opierając się całym ciężarem zgrzybiałego ciała na lasce. Również i jego czoło było zmarszczkami zorane, ale wyryły je tam raczéj starość i praca, niż zmartwienia. W twarzy jego można było wy-

czytać wiele dumy, uporu, surowości, lecz nie ów wyraz trwogi, który zdawał się zatruwać życie pana St. Victor.

Ujrzawszy wchodzącego, powstał gospodarz domu, i z widoczną radością wyszedł naprzeciw niemu.

»Devereux« — zawołał — »Witam!«

Devereux zaś usunął z uśmiéchem podaną sobie rękę, i rzekł:

»Jutro, St. Victor, mają być wypłacone wszystkie weksle, jakie mam zdawna od ciebie.«

St. Victor cofnął się zmieszany, mówiąc:

»Wiém o tém; lecz jestem spokojny, ponieważ one w twoim są ręku. Przecież nie będziesz nalegał na mnie.«

»Mylisz się, St. Victor« — odpowiedział starzec sucho. »Potrzebuję pieniędzy.«

St. Victor chciał się roześmiać.

»Wiadomo ci Devereux, iż niepodobna jest, abym się jutro uiścił. Nie byłbym w stanie wypłacić jednego wekslu, a nie dopiéroż wszystkie.«

»Ja zas nie żądam wypłaty jednego lub dwóch lub trzech, ale wszystkich; i po to właśnie przyszedłem do ciebie.«

»Devereux« — ozwał się dłużnik, jak trup blady. — »Mógłbyś mię wtrącić do więzienia; mógłbyś moje nazwisko i mój kredyt zniszczyć na zawsze — wszelako biorę Boga na świadka, że ani połowy téj sumy zebrać nie mogę, choćby tu o zgubę duszy mojéj chodziło. Cóż tedy myślisz począć? Czyżto nie jako przyjaciel przyszedłeś w posiadanie tych weksłów?«

Wierzyciel powstał.

»Nie!« — rzekł krótko.

Dłużnik westchnął głęboko. »Przecież nie zawsześmy tak żyli z sobą. Dla czegoż teraz inaczéj postępujesz?«

»Nie od dziś-to dyszą we mnie podobne myśli i uczucia dla ciebie« — odparł Devereux. »Pragnąłem ja oddawna téj chwili. Wstając i légając błagałem Boga o nią. Pokrzywdziłeś mię niegdyś, St. Victor; ale oto nadeszła godzina zemsty. Tak, zemszczę się, okryję cię hańbą, hańbą więzienia za długi, ty dumny, piękny, ukochany Victorze! Na mnie teraz kolej tryjumfu!«

Czyż mówiący tak starzec był niespełna zmysłów? Bo jakże inaczéj mógł tego na ciele i na duszy podupadłego St. Victora, którego włosy siwizna już oprószyła, nazwać dumnym, pięknym, kochanym?

Ale mówiąc to, nie patrzył stary Devereux na swego zatrwożonego słuchacza; przeciwnie, oczy jego były skierowane ku owemu młodemu, uśmiéchającemu się portretowi nad kominkiem, i do niego-to właściwie zwrócił on swoje słowa.

Poczém ozwał się daléj:

»Czyż pamiętasz, St. Victor, owe czasy, kiedyś ty jeszcze był młodym gładyszem, a ja ubogim komisantem w domu twojego ojca? ty, przyszły dziedzic jego ogromnéj fortuny, jeszcze prawie wyrostkiem, a ja podżyłym już człowiekiem? A gdyś ty w blasku i pysze wieloletności doszedł, ja w lata już wchodziłem. Lecz mimo mój wiek dojrzały, kochałem! Kochałem szczérze i namiętnie, raz piérwszy w życiu; i teraz jeszcze, St. Victor, żyje ta miłość tu.«

I przyłożył wychudłą rękę do serca.

»Byłato piękna, dobra dziewczyna; przyjęła pomyślnie me oświadczenia; bylibyśmy oboje szczęśliwi z sobą; gdy wtém, tyś drogę nam zaszedł. Nie potrzebuję ci przypominać, co się stało; jak w niedługim czasie młody, bogaty St. Victor wyparł ubogiego komisanta z serca kochanki, jak wkrótce mnie zapomniano, a ty jedynym ulubieńcem tego serca zostałeś. Nie potrzebuję ci powtarzać tego wszystkiego, ani też moich usiłowań zachowania kochanki dla siebie, ni żalów moich — żalów, z któremi na próżno przed namiętnym młodzieńcem się rozwodziłem. Przypomnę ci tylko dzień jeden, gdy odepchnięty przez nią w twéj obecności, ozwałem się do niéj po raz ostatni, odwołując się do jéj wierności i honoru, do twojéj szlachetności, twojego miłosierdzia — gdy widokiem twojego szczęścia do szaleństwa przywiedzion, pozwoliłem sobie śmielszych, niż może winien byłem użyć wyrazów, a tyś mi

uderzeniem odpowiedział. Tak St. Victor, zniżyłeś się do tego stopnia — uderzyłeś biednego komisanta, którego rozpaczliwa miłość prawie rozumu pozbawiła. Byłeś szczęśliwym, i wkrótce o téj drobnostce zapomniałeś. Nie długo potém umarła kochanka nasza.«

A tu drzący głos starca, zwilżone łzami oko, drgające wargi, jawne dawały świadectwo, iż prawdę mówił wspominając, że ta miłość dotychczas w sercu mu żyje. A biédny dłużnik, słuchający z trwogą słów wierzyciela, zapomniał na chwilę dolegliwości obecnych; nie myślał już o smutnej teraźniejszości. Przeszłość z wszelką swoją radością i boleścią, z całym swoim niewysłowionym urokiem, stanęła mu przed oczyma.

Devereux mówił daléj:

»Umarła. Dobrze dla niéj, że umarła, nim twoja miłość ostygła, zanim się dowiedziała, ile dla ciebie na zawsze utraciła. Umarła nim jeszcze wyrzuty sumienia albo kara dosięgnąć ją mogły — umarła w t w o j é m objęciu! U jéj grobu znowuśmy się zeszli. Miłość moja była zaiste bardzo gwałtowną, gdy wrodzoną moję dumę przemódz umiała, i do żałobnego za jéj trumną orszaku mię przyłączyła. Byłeś smutnym, rozpaczającym, podałeś mi rękę do uściśnienia, prosząc, aby wszystko między nami zapomnianém zostało. Przyjąłem podaną rękę; trzeba było ukryć gniew, udać przyjaźń, i rzekłem, że ci przebaczam. — Tymczasem upływały dnie i tygodnie; ukoiłeś się w bolu, pojąłeś drugą żonę, a odziedziczywszy majątek ojcowski, zostałeś naczelnikiem wielkiego handlowego domu St. Victor. Jam oddalił się od wieloletnego w nim obowiązku, lecz wprzódy przygotowałem skrycie jego upadek, zasiałem ziarno tego wszystkiego, co późniéj wzejszło. I jam się też dla pieniędzy ożenił. Założyłem osobny dom handlowy, i po mnogich trudnościach i walkach, dopiąłem celu méj pracy, zostałem najbogatszym kupcem w Marsylii. Żona moja umarła, lecz zostawiła mi syna, jedyne istotę w świecie, którą kocham. Dla niegoto i dla téj chwili zemsty, któréj przecież raz pora nadeszła, podjąłem wszelkie trudy i usiłowania.«

»Jakoż dla niegoto« — zawołał St. Victor — »będziesz miał litość nademną, a jeżeli nie nademną, tedy nad moją żoną, nad mémi dziećmi!«

Przez chwilę surowe rysy Devereux'go przybrały łagodniejszy wyraz, lecz tylko na czas krótki. Poczém odpowiedział ponuro: »Nie! Łzy i cierpienia całego życia, nie mogą zostać bez zemsty! Jutro będzie St. Victor przedmiotem wszelkich rozmów w Marsylii.«

»O, Devereux! Bądź litościwy, nie pamiętaj mi tak zawzięcie owego porywczego obejścia się z tobą, moim rywalem! Przypomnij sobie raczéj tyloletnie zaufanie, jakiego dowody tak często ci dawałem; przypomnij sobie mojego ojca, który cię kochał i poważał; uważ, jak długo dom nasz był najpierwszym w Marsylii. Jakże okropném zdarzeniem byłby jego upadek! Dom — zniszczony, a naczelnik jego w więzieniu!«

»Wszystko co przeciw temu przywodzisz, jeszcze bardziéj do uczynienia tego kroku mnie skłania. Tak, jutro będę pomszczonym!«

»Dozwól mi tylko jednego dnia jeszcze, a dołożę wszelkich starań, aby zebrać pieniądze! Miéj tylko cokolwiek cierpliwości! Okręt Volant, moja ostatnia nadzieja, témi dniami nadpłynie. Zaczekaj jego przybycia! Wiezie złoto i dyjamenty; jeźli szczęśliwie do portu zawinie; wszystkich wierzycieli zaspokoję, i przynajmniéj honor ocalę. O, bądź ludzki, miéj cierpliwość!«

Wierzyciel uśmiéchnął się, i odpowiedział:

»Ani chwili!«

»Devereux! Devereux! Bądź litościwym!« — To mówiąc, padł St. Victor do nóg dawnemu komisantowi.

Właśnie gdy wierzyciel w odpowiedź ustami miał ruszyć, zerwał się nagle wichr na dworze, i zatrząsłszy oknami, zawył przeraźliwie w kominie. Devereux zamilkł z przestrachem.

*

»Przebóg! Mój syn« — rzekł sam do siebie — »jest w téj chwili na morzu; Boże! spraw aby burza ustała.«

Co rzekłszy, przystąpił do okna, i patrzył trwożnie w dal przed siebie. Można było łatwo poznać, iż teraz myślał o młodym swoim synu, będącym na morzu, nie zaś o klęczącym przed sobą dłużniku. St. Victor podniósł się z ziemi, i westchnąwszy rzekł:

»Ten wiatr jest pomyślnym dla Volanta... Oby go niebo szczęśliwie do portu przywiodło.«

Wtém dał się słyszéć głos od portu:

»Volant! Volant przybywa!«

Dłużnik i wierzyciel pospieszyli wraz do okna.

»Co się tam dzieje z Volantem?« — zawołał St. Victor żywo ku portowi.

Na dole, na pomoście portowym, stała grupa ludzi w trwożném oczekiwaniu. Wielu z nich miało przyjaciół lub krewnych na przybywającym okręcie, niektórzy mieli udział w jego bogatym ładunku; skierowano kilkadziesiąt dalowidów ku widokręgowi, sto głosów przemówiło domysłami radosnéj lub smutnéj treści; ale wszystkie zgadzały się na to, że okręt zdala widziéć się daje i ku portowi się zbliża.

»To Volant! Przybywa pięcią dniami wprzódy niż się spodziéwano« — ozwał się stary żeglarz, który długo z natężeniem przez dalowid się patrzył. »Z pomiędzy tysiąca rozeznałbym jego żagle! Tak, to Volant!«

Więc mogę jeszcze być ocalonym« — odetchnął St. Victor.

Wierzyciel zwrócił się doń ponuro, i rzekł:

»Nie ciesz się zbyt wcześnie St. Victor. Okręt twój jeszcze nie w porcie; niebezpieczeństw na morzu nie mało; między twoim statkiem a portem są mnogie ławy piaskowe, skaliska podmorskie. Dla tego nie tryjumfuj przed czasem.«

Ale St. Victor, uniesiony radością, nie zważał na jego słowa. Czém rozgniewewany Devereux, złośliwe wymrukując groźby, wyszedł z domu swego dłużnika, i do swego udał się mieszkania.

Mieszkanie to leżało nie zbyt daleko od hotelu St. Victor, również w pobliżu portu, który wraz z całém swém rojném życiem i siną oddalą morza, widny był z górnych okien. Wracając wolnym i słabym krokiem do domu, zatrzymał się Devereux pomiędzy coraz liczniejszémi tłumami ludu przed portem. Nawet jego wzrok słaby mógł dojrzéć biały, daleki punkt, migający w pośrodku między ciemnym błękitem nieba a ciemniejszą jeszcze, purpurową czerwienią morza.

»To Volant!« krzyknął ktoś z portu. »Wnet usłyszymy wystrzał, w znak że przewodnika potrzebuje.«

Starzec odwrócił się z odrazą.

»Oby go przepaść pochłonęła« — mruknął jadowicie

To rzekłszy wszedł do domu. Wstępując do pokoju, usłyszał kogoś za sobą. Byłto Jean, majtek — przewodnik portowy, na którego właśnie przypadła kolej odpowiedzenia na dane już z nadpływającego okrętu hasło.

»Mości Devereux, czy nié masz jakich rozkazów dla mnie?« zapytał Jean.

Devereux nic nie odpowiedział, lecz wpuściwszy majtka do pokoju, zamknął drzwi za nim i przystąpił do dużéj, snycerską robotą ozdobionéj skrzyni, która za dotknięciem gospodarza domu, sama się otworzyła. Było w niéj wiele worków z pieniędzmi.

»Dałbym ci połowę tych pieniędzy« — rzekł Devereux — »gdyby Volant zatonął.«

»Daj mi wszystko, a stanie się, jak sobie życzysz« — odpowiedział majtek po chwili namysłu.

Devereux zmarszczył czoło i zamilkł, a potém rzekł:

»Dam ci wszystko.«

Tu ozwał się strzał jeden i drugi, a przewodnik pospieszył na swoje stanowisko. Wkrótce łodź jego pruła żartko rozkołysane fale, ale wtém ponad spienioném morzem noc zapadła, a nim łódź ku okrętowi się zbliżyła, nie było już widać ni łodzi ni okrętu.

Gdy nazajutrz ranek rozwidnił okolicę, już Volant był rozbitym o jednę z owych raf niebezpiecznych, które marsylskim przewodnikom tak dokładnie są znane, o jednę ze skał po prawéj stronie wnijścia do portu. Jednakże po niejakim czasie zmienił się stan powietrza, wiatr ucichł, burza ukołysała się zwolna, a Volant był tak blizkim brzegu, że można było w porcie dokładnie słyszeć głosy osady okrętowéj.

Przez cały dzień mijały się łodzie, pływając nieustannie między ugrzęzłym na mieliźnie okrętem a wybrzeżem. Wszelki ładunek — złoto, skrzynie z dyjamentami, tudzież resztę towarów przewieziono na ląd bezpiecznie, i złożono w skarbcu domu St. Victor. Sam nawet wybornie zbudowany okręt, zbywszy w ten sposób głównego ciężaru, podniósł się cokolwiek z wody, i został z nieznaczną szkodą uratowanym.

Majtek - przewodnik stanął przed panem Devereux, i zażądał nagrody.

„Wszakże okręt i ładunek ocalały" — mruknął starzec.

»Nie moja w tém wina» — odrzekł majtek. „Uczyniłem, co tylko było można, lecz burza pofolgowała, a tak wpółrozbity już okręt, zdołał się do rana utrzymać."

Devereux rzucił mu pod nogi worki z pieniędzmi, nie śmiąc opierać się jego żądaniom. Majtek podjął worki, i chciał już odejść; ale wtém wrócił się jeszcze ode drzwi, i rzekł do starca:

»Jeden człowiek zginął.»

Devereux był na to obojętnym, i nic nie odpowiedział. Majtek mówił daléj:

»Nie należał on do osady okrętowéj. Byłto młody, majętny chłopiec, z Marsylii rodem, którego Volant uratował, gdy jego okręt w kanale zatunął.»

Devereux nie troszczył się bynajmniéj o ten wypadek. Czemuż majtek tak starannie o nim go zawiadamiał?

Jakoż nie przestał na tém i mówił daléj:

»Właśnie w téj chwili, gdy Volant o rafę uderzył, pochłonęła chłopca przewalająca się przez pokład fala. Było zanadto ciemno, aby mu ktoś w pomoc mógł był przyspieszyć."

Devereux ozwał się ozięble, jakby tylko dla zadowolenia majtka.

„Biédak! Żal mi go!" — Poczém wziął się do swego zwykłego zatrudnienia, dając wyraźnie poznać majtkowi, iż radby go się pozbył.

Ale majtek wszczął na nowo:

»Użyto wszystkich środków, aby go do życia przywrócić, ale nadaremnie. A szkoda wielka, bo byłto ładny chłopiec, i jak się zdaje, z zamożnych pochodził rodziców."

Teraz Devereux już się widocznie zniecierpliwił. Dla czegoż bowiem nie chciał majtek odejść, i ciągle tą obojętną powieścią go kłopotał? Cóż pana Devereux to wszystko obchodzić mogło?

Majtek powtórzył ostatnie słowa:

»Z zamożnych pochodził rodziców»— i dodał— »jest jedynakiem swojego ojca.»

Stary Devereux, zdziwiony tą uporczywością, odłożył pióro, i spojrzał nań badawczym wzrokiem.

Naraz dał się słyszeć gwar za drzwiami — jakby kilku ludzi z jakimś ciężarem szło po schodach.

„Tu go przyniosą!" rzekł majtek, i obróciwszy się wyszedł zwolna.

Starzec zerwał się z dzikim wykrzykiem. Za jednym razem prawda w całéj swéj okropnéj rzeczywistości stanęła mu przed duszą: Zamordował własnego ukochanego syna.

* * *

Jeszcze wiele lat żył Devereux po tym wypadku, lecz nigdy już jasnéj świadomości umysłu nie odzyskał. Jakoż w tém zupełném moralném ociemnieniu, było dlań większe szczęście, niż na nie zbrodnią swoją zasłużył.

Każdego dnia siadał przy oknie, wychodzącém na morze.

„Cóż tak szumi?— Ha! wiatr się zrywa" — mawiał sam do siebie. „Burza powstaje! Ratuj go, ratuj o Boże! — Mój syn na morzu!"

A gdy noc nadeszła zrywał się z krzesła i wołał:

»Już późno — daremnie patrzę, białego żagla nie widać. Okropna to śmierć utonąć! O synu mój! Synu, powracaj! Burza huczy — spiesz na ląd — spiesz do mnie synu mój!"

St. Victor podźwignął się z upadku, a korzystając z doświadczeń, odzyskał znowuż dawną fortunę i znaczenie, i był tym samym znakomitym kupcem marsylskim, co wprzódy.

Ale ród jego i nazwisko— wygasły, a blask możnego domu St. Victor, uległszy koniecznemu losowi wszech ziemskich rzeczy, na zawsze już zaćmiony.

DO BOGA.

Nic bez ciebie się nie stanie,
Boże! w ręku twym ma dola;
Dajesz dary — dziękić za nie,
Zsyłasz kary — bądź twa wola!

Ale tyś mi dał już dociec,
Co w twém sercu dla mnie mieścisz,
Ty prawdziwie tak jak ojciec
Rano grozisz — w wieczór pieścisz.

Ja też pomny przyrzeczenia,
Jakie nam syn twój zostawił,
Znoszę cios ten bez mruczenia,
Bo ty karzesz — abyś zbawił.

Tylko przed twym majestatem,
Żebrzę jeszcze siły — męztwa,
Abym w walce z losem — z światem,
Szedł z zwycięztwa — do zwycięztwa.

Lub też, kiedyś tak przeznaczył,
Że mi dzisiaj skończyć trzeba;
Obyś Panie pomnieć raczył,
Iż kto cierpiał, ten wart nieba.

W Skale. *M. Głoskowski.* *)

Dwie Bohatérki.

Przed kilką miesięcy umarł w poblizkości Kairu francuzki jenerał Fernig, wracając statkiem parowym z wyższego Egiptu do Aleksandryi. Śmierć jego byłaby mało kogo obeszła, gdyby nie wspomnienie, iż nieboszczyk był bratem dwóch bohatérek francuzkich, które za czasów patryjotycznego podźwignienia się narodu przeciw obcym najeźdzcom, głośną acz krótką zjednały sobie sławę. Historyja tych dwóch walecznych dziewcząt, niedawno przez Lamartina w jego »Dziejach Żirondystów" odświeżona, zasługuje na powszechną uwagę.

W r. 1792, kiedy cała Francyja jednym była obozem, i do ostatecznego przeciw blizkiemu wtargnieniu nieprzyjaciół zbroiła się odporu; żył na saméj granicy departamentu du Nord, we wsi Mortagne, stary, wysłużony oficer, pan de Fernig, ojciec dwóch synów, którzy odniedawna w wojsku służyli i czterech córek, z których dopiéro dwie najstarsze, Teofila i Felicyja, panieńskiego dosięgały wieku.

Departamenty pograniczne, zalane przez ułanów Clerfaieta, nie poprzestawały na dostarczeniu należytej ilości regularnego wojska, zgromadzającego się tamże pod naczelnem dowództwem Dumourieza; wszelka też reszta zdolnej do broni ludności, która w domu została; nieletnia młodzież, rzeźcy starcy, nawet kobiéty — wszystko to tworzyło kompanije partyzanckie, które pod naczelnictwem śmiałego a w sztuce wojennéj biegłego dowódzcy ze swego grona, wyruszały nocą ze wsi, napadały na roty nieprzyjacioł, i zawziętą wojnę podjazdową toczyły. Panu de Fernig przypadła rola uorganizowania i wyćwiczenia takowéj gwardyi narodowéj w swoim powiecie; i rzadko kiedy noc upłynęła, w któréjby na czele okolicznych włościan, wycieczki przeciw nieprzyjaciołom nie przedsiębrał. Toż te obiedwie najstarsze córki jego, żywéj nabawiło obawy; więc równie chęcią czuwania nad życiem ojca, jako też patryjotyzmem zagrzane, przebrały się w pozostałe po braciach suknie, i bez wiedzy ojca, licząc na ciemność nocy i milczenie spółtowarzyszy, uczestniczyły w tych ponocnych wyprawach. A gdy pan Fernig nazajutrz przy stole, przygody, czyny i niebezpieczeństwa nocy opowiadał; ani mu przez myśl nie przeszło, że jego własne córki w pierwszym walczyły szeregu, i częstokroć życie mu ochraniały.

Jednego razu po całonocnych trudach i walkach wracała drużyna pana de Fernig przy odgłosie jedynego, kulami podziurawionego bębna, śpiéwając marsylijankę, nad ranem do swojéj wioski; — gdy niespodziéwanie spotkał ją jenerał Beurnonville, i kazał jéj zatrzymać się, aby jéj po krótkim przeglądzie, zadowolenie swoię wynurzył. Lękając się odkrycia, chciały obiedwie waleczne dziéwczęta w głąb się usunąć, lecz jenerał postrzegł je, i kazał panu Fernig przed front je wezwać. Dziewczęta wystąpiły z rozwartych szeregów, ale mężkie ich suknie, dymem strzałowym okopcone twarze, odgryzaniem nabojów zczernione usta sprawiły, że rodzony ojciec poznać ich nie mógł. Zdziwił się tylko starzec na widok dwóch nieznanych sobie wojowników swego małego wojska, i zapytał surowo:

„Kto jesteście?"

Wesoły szmer ze śmiéchem dał się słyszeć w szeregach.

Teofila i Felicyja ujrzały tajemnicę swą wyjawioną, i zapłonione wstydem, łzami zalane, rzuciły się do nóg ojcu, prosząc go o przebaczenie im tego miłością dziecięcą natchnionego wybiegu. Rozczulony ojciec przedstawił je komenderującemu jenerałowi, a ten opisał całą scenę w depeszy do konwentu. Konwent zaś podał imiona obudwóch dziewcząt do wiadomości całéj Francyi, i przesłał im w imieniu ojczyzny dwa konie i broń honorową w darze. Jakoż i Dumouriez zwrócił na nie swoję uwagę, i przedstawiwszy je żołnierzom za wzór do naśladowania, zaciągnął ojca z córkami w przyboczne swoje szeregi.

Odkąd nieprzyjaciele zagrodę ich zniszczyli, nie pozostało im żadnego schronienia, i jedynym całéj rodziny przytułkiem było wojsko. W bitwie pod Jemappes pełniły obie siostry służbę oficerów ordynansowych. Starsza, Felicyja, znajdowała się zwykle w pobliżu księcia de Chartres, teraźniejszego króla Francuzów; młodsza, Teofila, udzielała rozkazów wodza naczelnego jenerałowi Ferrand, i z nim razem do redut nieprzyjacielskich szturmowała.

Po krwawym boju wzięto wreszcie reduty, które zupełnie umilkły; ale jeszcze opiérał się jeden batalijon grenadyjerów. Teofila de Fernig uderza z oddziałem strzelców na grenadyjerów, rozbija cały batalijon, obala dwóch nieprzyjacioł strzałami z pistoletu, i wziąwszy własną ręką szefa batalijonu

*) W wierszu tegoż samego autora: *Dwie gałązki*, umieszczonym w nrze 41 Rozm. zaszła pomyłka, którą prostujemy: zamiast: *Smutno* płyną i drwią z fali, ma być: *Śmiało* płyną i drwią z fali.

w niewolę, prowadzi go rozbrojonego przed jenerała Ferranda. Tymczasem starsza siostra, walcząca przy boku księcia de Chartres, który w środku linii bojowéj chwilowe zamieszanie uśmierzał, i pierzchające już batalijony do powrotu nakłonić usiłował; cudów waleczności dokazywała. Trzymając cugle w zębach, z pistoletem w ręku, zastąpiła bohatérska dziewczyna umykającym szeregom drogę, i nazad do walki je gnała. A wreszcie, gdy krwawe zwycięztwo wywalczoném zostało; zsiadły obie rycerki z koni, i owiązywały rany swoim spółwojownikom, pocieszały ich słowem i czynem.

Zostały też obie ciągle przy boku wodza naczelnego, i uczestniczyły we wszystkich utarczkach forpocztowych, jakie po bitwie pod Jemappes prawie co chwila pomiędzy austryjackiémi a francuzkiémi wojskami się zdarzały. W jednéj z takich utarczek ujrzała się Felicyja nagle od licznego oddziału ułanów nieprzyjacielskich otoczoną. Wydobywszy się z trudnością zpod ich razów, dopadła dzielna dziewczyna nadjeżdżającéj garstki francuzkich huzarów, i z nimi razem do swéj kolumny wracała — gdy wtém natrąca się jéj wzrokowi młody oficer z korpusu belgijskich ochotników, w służbie rzeczypospolitéj fracuzkiéj, który powalony strzałem z konia, ostatkiem sił przeciw dobijającym go ułanom się broni. W oka mgnieniu rzuca się Felicyja w pomoc rannemu, którego zresztą nie znała, zabija dwoma strzałami dwóch ułanów, rozprasza resztę, zeskakuje z konia, podnosi umiorającego, i do lazaretu go odstawia.

Wkrótce jednak została rodzina Fernig dla swego przywiązania do osoby jenerała Dumourieza, niewinnie, jakto przynajmniéj o dziewczętach z pewnością twierdzić można, w zdradę tegoż jenerała uwikłaną, i wraz z księciem de Chartres ziemię francuzką opuściła.

Wtedy, podczas gdy obiedwie dziewczęta samotne za granicą się tułały, ów ocalony przez Felicyję oficer belgijski, Vanderwalen, żywił tylko jedno w sobie uczucie — uczucie wdzięczności dla swojej wybawczyni, i jednę tylko myśl — odszukania jéj w świecie. Zawsze bowiem jawiła mu się w marzeniach promienna postać dziewicy, która na krwawém pobojowisku cudem w pomoc mu przyspieszyła, która z obliczem anioła a w stroju towarzysza broni, rzuciła się pomiędzy wrogow, aby go z pałaszem w ręku od niechybnéj ocalić śmierci, która wreszcie w lazarecie litościwie nad jego krwią zbroczoném łożem się pochylała. Wystąpił tedy ze służby, aby swego anioła stróża odszukać.

Długo błąkał się młody Vanderwalen po wszystkich prawie północno-niemieckich stronach, nie mogąc nigdzie śladu Felicyi znaleźć. Dopiéro w głębokiéj Danii powiodło mu się odkryć pięknego zbiega. Wkrótce wdzięczność jego zamieniła się w namiętną miłość dla dziewczyny, którą teraz jak w stroju kobiecym, tak też w całéj nadobności i nieśmiałości niewieściéj ujrzał. Ożenił się z nią, i wrócił z młodą małżonką do swéj ojczyzny.

Jéj siostra i spółuczestniczka sławy, Teofila, udała się wraz z niémi do Brukseli, gdzie jeszcze młoda i niezamężna, umarła jako zwolenniczka sztuk pięknych, muzyki i poezyi, zostawiwszy wiele utworów poetycznych, w których męzki heroizm z głębokiém uczuciem kobiecém, dziwnie pięknie się łączy. Niebawem za nią wstąpiła też Felicyja do grobu.

»Te dwie w życiu, w śmierci i na pobojowisku nierozłączone siostry« — mówi Lamartine — »spoczywają pod tymże samym cyprysem w obcéj ziemi. Gdzież ich nazwiska na marmurowych tablicach naszych bram tryjumfalnych? Gdzie ich obrazy w Wersalu? Gdzie ich posągi na pograniczu Francyi, które one dziewiczą krwią zrosiły?«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 43ci i zawiéra: 1) O rachunku gospodarskim. 2) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalszy). 3) Doniesienie o nowéj młocarni. 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 5) Doniesienia techniczne.

Cały naród włoski, uważany pod względem swojéj spólności językowéj, liczy 25 i pół milijona ludności. Ztąd 6 milijonów należy do państw obcych, jakoto: 5 mil., w Lombardzko-weneckiem królestwie, do Austryi; 350.000, po większéj części w Korsyce, do Francyi; 128.000, na wyspie Malcie i przyległych wysepkach, do Anglii; 123.000, głównie w kantonie Tessyńskim, do Szwajcaryi. Z reszty 19 1/2 milijona niepodległéj ludności, zamieszkującéj 4790 mil kwadr., przypada 8.400.000 na królestwo Neapolitańskie; 5 milijonów na Sardyniję; 2.250.600 na państwo kościelne; 1.600.000 na Toskanę; 540.000 na Parmę; 516.000 na Modenę; 186.000 na Lukę; 8.600 na San Marino. Według powszechnego obliczenia utrzymują te wymienione tu mniejsze i większe państwa włoskie 116.000 wojska w czasie pokoju; podczas wojny zaś może ta liczba być podwojoną.

Dziennikarstwo francuzkie nie jest już czwartą potęgą w państwie — mówi Charivari w artykule wymierzonym przeciw przedajności dziennikarstwa — lecz podnóżkiem mownicy parlamentarskiéj. Wyrzekło się ono swojéj niepodległości i podało się w niewolą deputowanych, przedstawiających różne odcienia izby. Większa część dzienników nie zastępuje swych czytelników, lecz pana Thiersa, pana Barrota i t. d. Zamiast izbę deputowanych głosem opinii całego kraju oświecać i podniecać; stały się dzienniki zakładem pomocniczym mownicy — głosem przybocznym, którym izba na kraj chce działać. Dziennikarstwo utraciło już swój byt samodzielny; zamiast przemawiać otwarcie, i wypełniać przeto próżnię, sprawioną niekiedy nieśmiałością lub słabością mownicy; stosuje się ono posłusznie do taktyki stronnictw. Jedném słowém, dziennikarstwo nie jest już cenzorem lecz sekretarzem izby, lub jak się pewien deputowany opozycyjny wyraził, dziennikarstwo jest spluwaczką mownicy. Niémasz cztérech dzienników w Paryżu, któreby temu zarzutowi nie podlegały.

Grecka flota handlowa składa się z cztérech oddziałów, których głównymi portami są Hydra, Syra, Skiothos i Missolunghi. W pierwszym z tych oddziałów liczą 1540 statków, w drugim 1200, w trzecim 560, w czwartym 520, razem 3820 statków różnéj wielkości. W ciągu r. 1846 powiększyła się marynarka o 506 okrętów, pomimo wszelkich przypadków, które co roku pewną ilość okrętów do służby uniezdatniają. Aby powziąć wyobrażenie o wzroście

floty greckiéj, należy zwidzić fabryki w Syra. Panująca tam czynność zdumiewa podróżnych. Jest tam zawsze 60—80 statków w robocie, i ledwie jeden okręt żagle rozwinie, już drugi miejsce jego zajmuje. Trudno nawet miejsca nastarczyć; przeto ciągle nowe fabryki w Pireju, Galaxidi i na wyspie Spezzia powstają. Wszakże budujące się tam okręty są nie tylko dla saméj Grecyi przeznaczone; nadchodzą owszem obstalunki z Egiptu, czarnego morza, Turcyi, Włoch, nawet z Marsylii. W Europie należy zapłacić gotówką za wybudowanie i urządzenie okrętu, za żywność i służbę. W Grecyi wszystko inaczéj się dzieje. Oto naprzód stowarzysza się kapitan z kilką majtkami. Piérwszy lepszy kupiec otwiéra im kredyt na główne potrzeby budowy, jakoto: drzewo, liny, żelazo i t. d.; i przyrzeka nadto nowozbudowany okręt swoim towarem naładować. Gdy okręt pod żaglem stoi, ci sami, którzy go zbudować kazali, składają jego osadę. O żywnościach nić ma i mowy, gdyż kilka oliw, cebula, suszone figi, cokolwiek sucharów i woda; stanowi całą żywność, zacząwszy od kapitana aż do ostatniego majtka, dopóki spólny dług nie jest zapłaconym, co po trzech, czterech wyprawach następuje. Aż potąd bywa każdy ładunek na trzy części dzielony, jedna należy kupcowi, druga fabrykantowi, który zbudował okręt, trzecia kapitanowi i majtkom. Skoro się okręt raz własnością kapitana i majtków stanie, znajdzie kapitan wnet sposobność spłacenia tychże, i przechodzi w wyłączne posiadanie brygu lub goelety, podczas gdy majtkowie zyskują mały kapitał, i nanowo tenże sam zawód rozpoczynają. Tak owłada marynarka grecka nieznacznie całą żeglugę handlową na morzu śródziemném; już wiele portów małéj Azyi utrzymuje cały swój ruch handlowy za jéj pomocą, a konkurencyja europejska nie grozi jéj najmniejszém niebezpieczeństwem.

Przodek księcia de Praslin. W zbiorze listów, wydanym w r. 1789 pod napisem »*Correspondance interceptée*« czytamy pod dniem 1 maja 1784. »Niedawno mieliśmy tu dowód rzadkiéj miłości małżeńskiéj. Księżna Choiseul-Praslin zachorowała na jakąś nieznaną chorobę. Wszyscy lekarze odstąpili nieszczęśliwą, która wreszcie umarła. Już miano piękne jéj zwłoki w trumnę włożyć, gdy książę koniecznie jeszcze raz nieboszczkę widzieć zapragnął. Nadaremnie usiłowali obecni przyjaciele rozpacz owdowiałego małżonka uśmierzyć; pełen niewysłowionéj boleści rzuca się na zimne, martwe ciało, wołająo nieboszczkę w najczulszych wyrazach po imieniu. Nareszcie — przywołał ją nazad do życia. Zaczęła się ruszać, oddéchać — ocalała! Całe miasto brzmi w téj chwili tryjumfem tak tkliwéj miłości małżeńskiéj.« — Co za przeciwieństwo między tym »tryjumfem« a zbrodnią w hotelu Sebastiani!

Wybrzeża morza kaspijskiego są jeszcze prawie zupełnie dzikie i bezludne, lubo okrywający je szlam morski przynajmniéj w części te pustkowia użyznia i do rolnictwa usposabia. W stronie ku Astrachanowi osiedliło się ostatniemi czasy 5000 kałmuckich kibitek z różnych plemion. Wszakże sąto sami ubodzy ludzie, których nazbyt ostra zima ze stepów tu zagnała. Powynajmywali się oni po większéj części za robotników w mnogich tutejszych rybołowniach, i tém w najnędzniejszy sposób z dnia do dnia na życie sobie zarabiają. Nieco zamożniejsi zpomiędzy nich koczują w pobliżu łąk, których siano służy im za paszę dla bydła. Podczas nadzwyczajnie ostrych mrozów zimowych, kiedy gwałtowne burze i śnieżnice w tych nadbrzeżnych okolicach panują; uciekają oni z dobytkiem ku niezliczonym małym żuławom morskim, zarosłym gęstém sitowiem, które ludziom i bydłu ochrony od srogości żywiołów użycza. Soli i wód słonych ma morze kaspijskie z całą okolicą nadbrzeżną nieprzebraną obfitość. Dla braku czasu i rąk pozostaje tu co roku kilka milijonów pudów téj soli, bez użytku. W rośliny zaś są tutejsze wybrzeża bardzo ubogie, co się znowuż mnóstwem zwierząt, mianowicie ryb i ptactwa, sowicie wynagradza. Jakoż nietylko że osiedleni tu Kałmucy z ryb główną swą żywność mają, lecz służą one nadto za przedmiot handlu i bywają daleko wywożone. Przy silnym wietrze północnym cofa się morze z brzegów, poczém na szlamistém dnie zostaje tak ogromna moc ryb, że je furami wywozić można. Na wiosnę, w czasie ikrzenia się ryb, napełniają one wszystkie małe zatoki do tego stopnia, że chłopcy długiemi łowiąc je hakami, na cały rok dostateczny z nich zapas na utrzymanie dla swoich krewnych uzbiérać mogą. Z czworonożnych zwiérząt są tu: psy morskie, dzikie świnie, wilki, antylopy, lisy stepowe, tudzież inne; z stale przebywających ptaków: bażanty i kuropatwy, które w szuwarze zimują; z wędrownych: łabędzie, dzikie gęsi, kaczki, bekasy, jaskółki morskie, mewy. Osobliwie te dwa ostatnie gatunki nadlatują tu ciągle w nadzwyczajnéj ilości. Ustawiczny przeciąg najrozmaitszych gatunków ptactwa, które tędy każdéj wiosny i jesieni z północy na południe wędrują: byłby dla naturalisty bardzo zajmującém widowiskiem. Skrzydlate te wędrowce są dość rozsądne aby nie lecićć w kierunku morza kaspijskiego, kędyby unużone spocząć nie mogły, ani przez nagie, bezwodne stepy, gdzieby żadnego żéru nie znalazły. Przybywszy tu zawcześnie, przy chłodnéj jeszcze temperaturze, oczekują one w tutejszych szuwarem okrytych bagnach, cieplejszego czasu. Gdy ten nadejdzie, wylatują z nadbrzeżnych moczar tak niezliczone roje najrozmaitszego ptactwa, że kto podobnego widoku na własne oczy nie doświadczył, nigdyby temu wiary nie dał.

Oświata w Portugalii stoi na bardzo nizkim stopniu. W r. 1820 sam Don Miguel własnego nazwiska poprawnie podpisać nie umiał. Między ludem panuje niesłychana łatwowierność i najdziksza zabobonność. Niedawno opowiadał jeden z plebanów wiejskich pewnemu Anglikowi co następuje: »Témi dniami przyszło do mnie kilka kobiet z mojéj parafii, i oznajmiło mi z płaczem i narzekaniem: iż królowa Maryja wydała rozkaz, aby wszystkim kobietom, mającym na imię: Maryja, jedno oko wyjęto, ponieważ królowa, będąc jednooką, nie chce mieć w kraju żadnéj Maryi, którąby na obie oczy widziała. Opowiedział im to pewien mnich, stronnik Don Miguela, nazwiskiem *pater* Bento, zapewniając je na wszystko co święte i drogie, że królowa Maryja wkrótce ten zamysł uskuteczni. Nie mało miałem kłopotu, nim je ponickąd uspokoiłem.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.